



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie;

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

RAZ CIĘ WIDZIAŁEM...

Raz cię widziałem, kto jesteś — nie wiem.
Siedziałaś w parku z twarzą pobladłą,
Z czołem, gdzie zmarszczek kilka się kładło,
Z przygąsem oczu czarnych żarzewiem;
I było twarzy twojej zwierciadło
Jak fala, skrzydłem zmacona mewiem.

Z drzew się sypały umarłe liście
Na twoje włosy, na twoje łono,
A ty siedziałaś pod tą osłoną
Przy łkaniu fontan, przy wiatru świście —
I zgadłem, patrząc w twą twarz zmroczoną,
Że na nieczyje nie czekasz przyjście.

Byłaś jesiennych tonów wcieleniem,
Kwiatem, co w ranne przymrozki ginie,
Falą, niknącą w czarnej głębinie,
Mrącym wśród mogił słońca promieniem;
I głuchy smutek, co z grobów płynie,
Żalobnym ciebie osnuwał cieniem.

Przyznałyby się do ciebie — zdroje,
W których nie gasił człowiek pragnienia;
Pustelnic skargi, sierot westchnienia;
Przyznałoby się i serce moje...

Raz cię widziałem, a wśród tysięcy
Z półzemdłonego poznałbym ciała
I z melancholii, którą tchniesz cała;
Nie zbędę się też wiary dziecięcej,
Że i ty obcym-byś mię nie zwała...

Lecz ja już ciebie nie ujrzę więcej!

Wiktor Gomulicki.

OPTYMIZM.

Optymizm jest to szlachetna wiara w człowieka, w ludzkość, i czy wskutek tego nie jest to pierwiastek szczęścia a zarazem wielka pomoc dla życia, bo optymista odważniej idzie przed siebie, ufny w to, że w chwili potrzeby znajdzie rękę bratnią, która się do niego wyciągnie, aby go uchronić przed upadkiem — da mu podpórę, gdy zachwieje się i równowagę utracić może. Ludzie uczciwi, niezdolni do złego, skłonni są też zawsze do poglądów takich na świat i człowieka, życie staje im się też łatwiejszem, bo trzy najwyższe cnoty istoty ludzkiej; wiara, miłość i nadzieja, towarzyszą im w życiu i równają jego drogi. Odbierać bliźniemu to słodkie zaufanie w dostojność natury człowieka jest też rzeczą karygodną, bo znaczy to rzucić cień czarny na jego życie, obierać go z najdroższych życia tego skarbów i zarazem utrudniać je, bo pesymista widzący wszędzie zło, nie może już ludziom ufać, nie pragnie też tej pomocy, jaką dać-by mu mogli i życie męczy go ciężko, ciężiej niżeli innych a zarazem i psuje, bo nie wierząc w dobro serca bliźnich swoich, łatwiej się rozgrzesza, gdy cofa im

pomoc miłości bratniej, a skoro sam niezdolny jest kochać, nie odbiera też od ludzi darów miłości; że zaś człowiek rzadko kiedy umie w sprawie własnej sądzić sprawiedliwie, zaczyna się tem silniej w smutnem przekonaniu, że świat jest złym — że ludzkość jest przewrotną.

Zaufanie, wiara w ludzi jest przecież podstawą do wiary w siebie. Mówiąc sobie z dumą szlachetną, że zdobędziemy się zawsze na tyle siły, aby utrzymać się przy obowiązku, nie zejść z tej placówki, na której odbywamy straż uczciwych życia celów, opieramy się na przekonaniu, że człowiek tak postępować może, powinien. Widok ludzi złych dlatego źle oddziałują na nas, że dają nam niejako rozgrzeszenie do postępowania szlakiem takim, jakim idą oni, i dlatego-to pesymizm jest już złego początkiem — ziarnem, z którego wyrasta koniecznie egoizm. Kto bliźnich swoich nie kocha i nie szanuje, musi zamknąć się we własnej swojej istocie, a stając się samolubem, staje się zarazem nieszczęśliwym, osamotnionym i w wychowaniu wielką, podstawową rzeczą jest zaszczerpiecie w sercu młodemu wiary w człowieka, bo łączy się to węzłem najściślejszym z przekonaniem, że w chwili pewnych ciężkich prób życia ktoś mu z pomocą pośpieszy.

Życie, które się nie spodziewa takiej podpory od bliźnich swoich, jest więc życiem nieszczęśliwym, które z konieczności niemal w samolubstwie się zasklepia i dba o siebie jedynie; czy przecież człowiek zdolnym jest starczyć sam sobie? Każdy z nas czuje, że trzeba mu coś kochać, więc trzeba mu zarazem i coś szanować, bo miłość bez szacunku nędzną jest i poniżającą, istnieć też może jedynie jako zaślepienie, którego często wytłómaczyć sobie nie umiemy, a które jest wynikiem tego szlachetnego przywileju człowieka, że miłość jego potrzebuje się łączyć z ideałem pięknym moralnego. Optymista jest to więc człowiek przekonany szlachetnych, ale woli słabej, tchórzy on wobec perspektywy doświadczeń, które spo-

tkać go mogą, gdyby przyszło mu łamać się z życia obowiązkiem ciężkimi i zakrywa oczy przed prawdą, a jednak prawdą tą trzeba nam żyć, aby rzeczywistość była zasługą czynów naszych.

Ta silna nadzieja nakazująca nam stać niezruszenie przy rzeczy cnotliwej, której spełnienie wydaje owoce szczęścia, to bynajmniej nie optymizm, ale wiara w siłę moralnego dobra, które ostatecznie bierze zawsze wśród ludzkości górę nad złem. Wola nasza, skłaniająca się do spełnienia obowiązku, powinna też być w każdym człowieku przekonaniem silnym, że przykładamy się w ten sposób do ubogacania ludzkości w dobro, więc w szczęście szlachetne, którego część i nam się dostaje, jest bowiem solidarność, łącząca ze sobą ludzi; im więcej też jest cnoty i pracy na uczciwe zarobki ludzkości, tem mniej zła, więc mniej braków i cierpień, mniej upadków. Nie trzeba bynajmniej być optymistą, aby w to wierzyć, należy tylko umieć patrzeć w życie i znać prawdziwe szczęścia pierwiastki. Ludzie sprawić to mogą, aby byli szczęśliwymi, co staje się zawsze wtedy, gdy przykładamy się szczerze i pracowicie do spełnienia obowiązków, bo wytworzą się wówczas ta ogólna harmonia życia, wśród której niema już krzywd i obrażeń, a oświata staje się postępek moralnym, obok postępu materialnego.

Niech tylko większość ludzi zdobędzie się na tę wolę dobrą, aby chcieli i umieli żyć uczciwie a bez optymizmu możemy powiedzieć sobie, że człowiek potrafiłby pozyskać szczęście na ziemi, bo powtarza się przez wieki historia pierwszych jego rodziców w raju. Życie póty rajem tym być może, póki człowiek nakazom moralnego prawa ulega, ludzie przesuwają się przez to życie jak cienie, ale po każdym z nich zostaje spadek czynów dobrych lub złych, których spadkobiercami jest pokolenie następne, bo choć ujdą oni gdzieś w zaświat, konsekwencya ich czynów spełnia się w skutkach, jakie zasieli w grunt ogółu swego.

Młodość posiada szczęśliwy przywilej optymizmu, wierzy, że ziemię z posad poruszy i na inne pchnie tory i to jest szlachetnym jej prawem, z którego niech jej nie obdziera pesymizm ludzi zmęczonych życiem, którzy celu pragnień swych nie dosięgli. Każdy przecież uczciwie czujący i myślący—każdy kto ręką leniwie nie zakładał coś tu dobrego zostawi po sobie, a z takiej to spuścizny wieków tworzą się skarby ludzkości, do których kobieta niemniej jak mężczyzna ręki przykładania nietylko przez wychowanie dziecka, ale przez moralny wpływ tych ognisk domowych, które decydują o doli i niedoli człowieka. Nie może być pesymistą ten, kto kocha i kochany wzajemnie szczęśliwym jest przez zadowolenie serca, choćby też los prześladował go z innej strony, wierzyć musi, że jest przecież szczęście na świecie i trzeba tylko, aby nie usuwał z życia swego obowiązku i pracy.

Jedno i drugie zaciężać nam może nieraz—nieraz czoło oblewa się znojem gorącym, nieraz obowiązek każe walczyć ze szczęściem i odsunąć je na stronę, ale trzeba człowiekowi wierzyć, że mimo to ofiary, które ponosi, mieszczą w sobie pierwiastek uszczęśliwiający. Czujemy, iż spełniamy rzecz dobrą, że siejemy tym sposobem w grunt życia ziarno, mające wydać dla ludzkości ten pokarm moralny, który zaspakaja głód ducha istot szlachetnych, lecz trzeba na to ludzkość tę kochać i tu zastosować się dają słowa starej piosenki naszej:—Ach! bez miłości jakżeby żyć?..

Życie bez miłości przedstawia się człowiekowi jakoby ogromna, bez końca rozległa pustynia, wśród której nie się dla niego nie rodzi i nie nie kwitnie, gdzie też nie znajdzie żadnej uchrony, aby odpoczął w spokoju, i ta niezdolność kochania, ta martwość serca jest najcięższą karą pesymisty. Sand wydała raz okrzyk smutny wobec ciężkiego niepokoju o los syna: „Szczęśliwi, którzy kochają słabo!“ ale paradox to jest zaprzeczany przez każde życie ludzkie, bo kto nie kocha prawdziwie, to jest mocno, nietylko że kochanym też nie jest i nie odbiera tych usług, tej pomocy, jaką miłość ludzka nas darzy, ale uczucie pustki w sercu jest cierpieniem i pod żadnym innym względem doskonale nie odpowiada temu akxyomat, że natura próżni nie znosi. Pesymista skazuje się prze-

cież na to: chcąc się zabezpieczyć przed boleścią zawodów, ściga na siebie zawód najcięższy, bo wykreśla z życia swego wszystkie radości serca, wszystkie pociechy uczucia.

Grunt życia ludzkiego wydaje niemało cierni, czyż przecież nie kwitną tam i róże? Aby je zdobyć sobie trzeba odważnie wyciągnąć rękę, nie lękając się ukłócia, i tak tylko pojmując życie może człowiek być szczęśliwym. Są niewątpliwie i chwile doświadczeń ciężkich, ale czem dłużej żyje człowiek, tem więcej pojmować powinien, że jest to życia konieczność, trzeba mu też jako lekarstwo na to nie zasklepić się we własnej tylko istocie i żyć tem życiem szerszem, które wprawdzie skazuje nas niejednokrotnie na cierpienia i boleści, ale daje też wzajemian i wielkie radości, pociechy wielkie, i nie myliła się poetka nasza, wołając, że szczęście to kochać, wierzyć, czuć bez miary...

M. I.

BEZ WOLI

POWIEŚĆ

przez

WANDE GROT. BĘCZKOWSKĄ

(Dalszy ciąg)

XVII.

Kraków spał jeszcze. Poranne słońce leniwie wypijało mgłę, unoszącą się nad Wisłą i nad miastem, w tumanach jej spowitem. Poważny dźwięk dzwonów przerwał ciszę. Kamieniecka podniosła się z krzesła stojącego przy oknie i otworzyła lufek.

Chłodny wietrzyk powiał od rzeki i rozpaloną skroń kobiety ochłodził nieco. Była nie do poznania zmieniona. Żółtawa bladłość pokrywała twarz, wychudzoną i mizerną, oczy obwiedzione sińcami zapadły głęboko. Noc całą w hotelu spędziła bezsennie. Tęskniła za wnukami, za starymi nawyknięciami, za domem i wszystkim, do czego od lat tyłu przywykła. W jej wieku trudno było zrywać z przeszłością i tworzyć nowe plany. A czekała ją jeszcze rozmowa z Lilią, i sama myśl o tem sprawiała jej dreszcze. Co ona powie, jakimi słowami zaklnie tę lekkomyślną istotę? Gdy się zbliżała godzina, w której będzie mogła odwiedzić synową, słabła wola, która trzymała na wodzy rozprężone jej nerwy.

— Boże, Boże ratuj nas!... powtarzała prawie bezmyślnie, ubierając się z pośpiechem do wyjścia. Chciała jeszcze przedtem być w kościele.

Było już po dziesiątej, gdy modlitwą pokrzepiona zadzwoniła do mieszkania synowej. Przeraziła ją dźwięk dzwonka i bardzo błada, podała lokajowi swoją kartę. A więc, za chwilę!.. Czy istotnie serce jej, z tem gwałtownym biciem, konwulsyjnymi drganiem i bólem, który ją od tyłu lat nęka, zdoła to wszystko przenieść?

Lokaj, z uszanowaniem przed wyniosłą, mimo woli nakazującą szacunek Kamieniecką, otworzył drzwi do głównego salonu. Godzina wprawdzie wczesną była, ale na karcie figurowało nazwisko zasługujące na najwyższe względy uniżonego sługusa.

— Zamelduję jaśnie pani — rzekł, kłaniając się pokornie. — Panie dopiero wstały.

— Czy gdzie wyjeżdżają? — pyta, nie mogąc się powstrzymać Kamieniecka. — Widzę przygotowane do podróży kufrы...

— Jaśnie pani dziś o czwartej po południu wyjeżdża ze starszą panią i panią do Wiednia. Wszystko już przygotowane.

Dziś? o czwartej? Gdyby się tak była spóźniła.... Musiała usiąść, bo nogi się pod nią ugięły.

Wyjątkowo Lila nie kazała czekać na siebie. Ciekawość przyspieszyła zjawienie się pięknej pani w salonie.

— Zimnym ukłonem powitała matkę.

Kamieniecka podniosła się i dwie kobiety zmierzły się wzrokiem badawczym.

Patrzyły na siebie długo, bo ciężko było powiedzieć pierwszej z czem przybyła, a druga, umyślnie pytać nie chciała. Przeczowała, że tylko coś bardzo ważnego spowodować mogło dumną Kamieniecką w progi jej domu, i przedłużała milczenie, pewną będąc, że tamtej sprawa to męczarnia. A jakaż była piękna! Z białych muślinów podbitego różową materią szlafrocza przepiękne wychylały się ramiona, utoczone ręce, klasyczny biust... Bujna, w całym rozkwicie ta druga młodość, którą Balzac za tak niebezpieczną uważa, stroiła Lilię istotnymi powabami i Kamieniecka z westchnieniem przyznać to w duchu musiała. Świeży wygląd Lili i czar jej urody groźnymi byli dla jej sprawy przeciwnikami.

Rozkochana w sobie, zepsuta hołdami, Lila trudniejszą będzie do zdobycia.

— Czemu mam przypisać wyjątkową grzeczność pani? — spytała wyniosłe, zawistnym wzrokiem mierząc wspaniałą postawę i szlachetne rysy stojącej przed nią kobiety. — Doprawdy, jestem zdumiona! Czy stało się coś nadzwyczajnego w Kamieńcach? — Ztamtąd zawsze niewesołe przychodzą wieści. Oswoiliam się już z tem cokolwiek i jeżeli ma pani coś do powiedzenia...

Królewskim ruchem wskazała fotel, ale Kamieniecka potrząsała głową przecząco.

— Nie mogę spocząć pod twoim dachem, Lilo — rzekła z mocą. — Nie zapomniałaś chyba?.. Nie przybyłam tu jednak po to, aby dawne wywoływać dzieje. Opuściłam dom, pierwszy raz w życiu plamiąc usta kłamstwem... a opuściłam dlatego, że ja, sama, osobiście, mam cię błagać o łaskę, o litość, nad nami wszystkimi, Lilo.

Oparła się ręką o poręcz fotelu; mocne bicie wzburzonego serca prawie dech jej zapierało w piersi. Chwilę odpoczęła.

— O cóż to chodzi? — Żle wróżący mars ukazał się na czole Lili.

Kamieniecka podeszła ku niej.

— Ty wyjeżdżasz, Lili? — pyta wprost — z rozpaczłą siłą wpijając wzrok w twarz synowej. — Opuuszczasz dom, rodzinę, steranego kłopotami męża, który życiem krok twój niebezpieczny przypłacić może. Lili, przyjechałam zapytać cię, czy w sercu twojem niema już ani isierki uczuć dla tych nieszczęsnych dzieci, które chcesz osierocić?

Po twarzy Lili przemknął rumieniec. Zkąd matka mogła się o tem dowiedzieć? Rozgniewała ją to, postanowiła jednak chłodno rzecz zakończyć.

— Nie upoważniłam nikogo do kontrolowania moich zamiarów, ani mieszania się w moje sprawy osobiste — rzekła, nie spuszczaając oczów przed wzrokiem matki — tem mniej tych, którzy oddawna już palają niewytłomaczoną przeciw mnie zawiścią. Usunęłam się z domu, aby tego uniknąć... Nie pojmuję więc...

Teraz blada twarz Kamienieckiej zafarbowwała się rumieńcem. Pocisk trafił, gdzie go wysłano. Duma sędziwej pani srodze dotknięta została.

— Nie miałam dotąd zwyczaju mieszać się w cudze sprawy — rzekła z godnością. — Nie silę się nawet, aby odeprzeć zarzut niezasłużony. Za nadto boli. Zresztą, myśl jak chcesz, Lili, o tem co było między nami; ja tylko proszę i błagam, odpowiedz mi na pytanie, które zmuszona byłam zrobić ci. Opuuszczasz domowe ognisko i miejsce swoje, i to zaszczytne w rodzinnym kółku miejsce pozostawiasz opustoszonem...

— Będziesz je pani zajmowała nadal... — odparła oschle Lila. — Dzięki tobie, nikt tam z pewnością nie tęskni i nie płacze za mną... Powinnaś mi pani być wdzięczną, za stanowisko, jakie w moim domu zajmujesz. Inna jest, o ile wiem, rola matek mężowskich...

Mówiła z gryzącą ironią, Kamienieckiej krew uderzyła do głowy.

— Nie wróć już do Kamieniec nigdy — rzekła głosem nabrzmiałym łzami. — Dotąd jedynym moim marzeniem było, gdy chwila spoczynku na-
dejdzie, znaleźć się obok męża. Dziś i tego się już wyrzekam. Ostatnią pociechę, która koić miała moją tęsknotę, odebrałaś mi, Lilo w tej chwili. Nikogo w naszym rodzice, nie poniewierano bezkarnie i mam też nadzieję, że nadejdzie czas, kiedy i ty żałować tego będziesz, Lilo.

Coraz szybciej słowa wybiegały z jej ust, Lila uczyła się rozgniewaną na dobre.

— Ale cóż mnie to obchodzi? — mruknęła niechętnie. — Wszystko to zresztą jedno czy pani zostaje w Kamieńcach, lub nie. Ja teraz wyjeżdżam zagranicę, skoro chcesz pani wiedzieć koniecznie i nie wiem kiedy powrócę. Edukacya Lorei potrzebuje czasu...

— Aaa... Więc to dla Lorei... — Kamieniecka chciała coś dodać jeszcze, ale się powstrzymała. Nie chciała jej niczem drażnić. — Czy wolno mi spytać: zkąd myślisz czerpać na pobyt zagranicą, Lili? O ile wiem, mąż twój nie będzie w możnościłożyć na edukacyę Lorei, tak kosztowną... Byłoby to zresztą z krzywdą innych dzieci...

Lila mimowolnie przed ucziwym wzrokiem matki mężowskiej spuściła oczy.

— Mam chyba prawo wymagać, aby mąż myślał o moich potrzebach — odpowiedziała.

— A jeżeli on nie może, jeżeli nie ma zkad dostać pieniędzy, to cóż wtedy, Lili? Znasz chyba krytyczne położenie nas wszystkich?

— Dziękuję Bogu, że nie ja prowadziłam interesa i nie wtrącałam się do gospodarstwa — rzekła uszczypliwie Lila. — Zbieracie, coście posiali. Nakoniec, może czas już, abyśmy zaniechały tej rozmowy... Nie doprowadzi do niczego.

— Więc chcesz koniecznie opuścić męża? — spytała Kamieniecka, z rozpaczą chwytając miękką, ciepłą dłoń Lili. — Ależ na Boga! Czy — jeżeli o nie innego ci już nie chodzi, czy nie obawiasz się skandalu? Pomyśl, jak to świat przyjmie... Mąż, zadłużony, goniący resztkami mienia, chory, dzieci, z których najmłodsze kilkoletnie zaledwie, a ty, spędzając czas zagranicą, zdala od domu i tego wszystkiego co dla ciebie najdroższemu być powinno. Lilo, zastanów się! Krok taki, uczyniony samowolnie, bez wiedzy męża, spowodować może ważne następstwa. Czy mój syn zechce przyjąć cię potem do domu swego? Miałby wszelkie prawo nie uczynić tego.

— Nie lękam się niczego — odparła Lola swobodnie. — Świat wie o tem, że mam córkę i dla niej wyjeżdżam. Stasia znam aż nadto; przebaczy i zapomni. Dlatego właśnie zatrzymałam wyjazd w tajemnicy, aby go nie martwić przedwcześnie. Pani jednakże policyą posiadasz doskonałą. Można powinszować!

Kamieniecka ze wstrętem puściła jej rękę.

— Znieważaj mnie, ile tylko zechcesz — zawołała z oburzeniem. — Wolno ci! tobie jednej tylko... Przybyłam prosić się o łaskę, o dobrodziejstwo największe, o litość, nad gromadką tych biednych dzieci, które porzucasz. Daremnie byłoby przemawiać do ciebie w imię miłości dla męża. Ty nie uznajesz żadnych obowiązków względem niego. Ależ dzieci, dzieci! Trzeba nie mieć uczuć ludzkich w piersi, aby bez opieki je zostawić.

Łzy, sama nie wiedziała kiedy, potokiem puściły z jej oczu.

— A to przyjemna scena! — mruknęła Lili niechętnie. — Niech-że się pani uspokoi zwróciła się do matki. — Służba posłysz... Do czego to podobne! Te ciągle utarczki właśnie, te napomnienia, których miałam wyżej głowy, są przyczyną naszego rozłączenia. Staś, ani nikt zresztą w domu, nie oszczędzał mnie... Nie mało wycierpiałam, i nie macie prawa, odwoływać się teraz do mej litości. Oto wszystko, co powiedzieć chciałam i tem kwestyą zamykam. Dość już tego!

Odwróciła się, by odejść, Kamieniecka zastąpiła jej drogę.

— Lili, ulituj się... — załkała, prawie nieprzytomna, czepiając się jej sukni, chwytając za rękę, które tamta z gniewem wyrwać usiłowała. — Co to będzie gdy Staś się dowie?... O Boże mój, Boże!... Posłuchaj, Lili, proszę starej, biednej matki. Ja mam tylko jego jednego na świecie, wszyscy, których kochałam — odeszli. Czy ty wiesz, com ja

wycierpiała, gdy mój imię twoje usłyszała po raz pierwszy na jego ustach? Przypominałaś mi, co dzień, co godzina ciężką krzywdę, jaką mi matka twoja wyrządziła, moje sieroctwo, a jednak nie wydarłam ci go, jak by to inna była zrobiła: owszem, Bóg mi świadkiem, że się do ciebie garnęła z sercem prawdziwie kochającej matki, aleś ty mnie odepchnęła. Tak Lili! jeżeli masz sumienie, jeżeli masz odrobinę choćby szlachetności, przyznać mi to musisz. Tyś była kością niezgody pomiędzy nami, jak byłaś zgryzotą i utrapieniem dla mego dziecka. O, jam wszystko widziała, a com czuła, żaden język tego nie wypowie! Mijały dnie, miesiące, lata, dla mnie zawsze jednaki, niezmiennie smutne, gorzkie wspomnień zatrute. Lili! Za tę przeszłość okropną, za wyzucie mnie ze wszystkiego, co dla człowieka ma serdeczną wartość na ziemi, za to dziecko jedyne, któremu życie tak ciężkiem uczyniłaś, ulituj się... Musisz wrócić do niego, do dzieci, do domu — wołała, nie mogąc już panować nad sobą, blada jak mara i chwiejąca się na nogach matka. — Ja teraz o cześć jego walcę... rozumiesz? Nie pozwolę, abyś szargała nazwisko mego syna do tąd uczciwe i hańbą nie piętnowane.

Lila zatrzęsała się z gniewu. Czy to istotnie miała jej rączka posiadać tyle siły, że kruszy niemal w palcach zimną jak lód rękę matki.

— Proszę być cicho — mówi przez zaciśnięte zęby. — Proszę się nie zapominać. Nieznoszę w moim domu hałasów i awantur.

— Lili! — od tej chwili w moim sercu niema już pobłażliwości dla takiej, jak ty, istoty — ochrzypłym głosem odpowiedziała Kamieniecka. Bóg cię za krzywdę mego dziecka ukarze, jak ukarze i za to, żeś od swoich dzieci odbiegła. Pamiętaj! Strzeż się jednak podróżować i używać życia za pieniądze hrabiego, Lilo. Syn mój o honor swego nazwiska upomnieć się jeszcze potrafi.

Skierowała się ku drzwiom, rozpostartą dłonią cisnąc chore serce.

— Tylko trochę sił jeszcze o Boże — szepotała z gorącą prośbą ledwo się wlokąc po schodach.

Przejeżdżająca dorożka odwiozła ją do hotelu.

— Jakie szczęście, że Lora śpi jeszcze a babcia wyszła — rzekła do siebie Lila, prawie sina z gniewu. — I ja, pod jednym dachem mogłam żyć z taką awanturnicą i waryatką! Mogę sobie powinszować wyboru.

Opuściła salon wzburzona i zajęła się przygotowaniami do podróży.

Po-południowym pociągiem na pewno odjechać miały.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CXXXII.

Wina kobiety, dramat w 3-ach aktach, Emila de Girardin. — Pierwszy pacyent, komedia w 1-ym akcie Jordana.

Otwarcie Teatru Rozmaitości na początku jesennego sezonu miało zwykle cechę poniekąd uroczystą a przynajmniej taką starał się nadawać mu każdy reżyser, jeżeli zależało mu na tem pierwszym wrażeniu, jeżeli pragnął zająć publiczność i krytykę, popisać się starannością w przygotowaniu nowego repertuaru; zaznaczał przy takiej sposobności kierunek oraz składał niejako dowód dobrego smaku i praktycznego zmysłu w wyborze nowości, przeznaczonych na to pierwsze widowisko po letnim wypoczynku zimowej sceny.

— Od czego zaczniemy sezon? — bywało zawsze kłopotliwym pytaniem nieboszczyka Tatarkiewicza, który w notatkach swoich nosił zazwyczaj plan całej kampanii teatralnej, układany z rozmy-

ślem i uwzględnieniem zarówno artystycznych jak i kasowych celów instytucji sztuce poświęconej.

Pan Szymanowski tego trudu w ciągu swej reżyserkiej praktyki nie zadaje sobie wiele, liczy na przypadek i jest z zawodu opportunistą, o ile wnioskować można z kierunku i sposobu traktowania sztuki przez niego.

Każda tak zwana premiera w ostatnich czasach sprawia na bywalcu teatralnym wrażenie, jak gdyby reżyser naszego dramatu i komedii sięgał naoslep ręką do biblioteki i na chybi-trafi wyciągał to stary melodramiec, to farsę nowoczesną, to sztuczność jakiejś zagranicznej miernoty, to niedołą próbę swego talentu.

Czasem, ale to dosyć rzadko, przypadek podsunie mu pod palec coś lepszego i wówczas miewamy „wznowienie“ sztuki ogranej dawno ale przynajmniej dobrej, którą krytyka i publiczność wita z konieczności, jak... raka na bezrybiu.

Nie dziwię się, iż wobec takiego chwytania, jak w istnym koszu szczęścia na loteryi, nabytków do zapychania repertuaru, mogła się podsunąć panu Szymanowskiemu „Wina“, a raczej „Męczarnia kobiety“ (*Le supplice d'une femme*) Girardin'a, która przed niespełna trzydziestu laty zabłysła, narobiła huku i zgasła, jak szmery na scenie paryskiej.

Czyżby w ciągu trzydziestu lat od ukazania się tej sztuki, literatura dramatyczna we Francji nie zdobyła się na nie godniejszego uwagi i wymogów naszej reżyserii, skoro ta aż tak daleko postanowiła sięgać po nowości repertuarowe?...

O tak wybredny smak i surowy krytycyzm nie śmiałyby posądzać p. Szymanowskiego i przypuszczam, że nie dla tego, aby *przebiegał*, ale prosto dla tego, iż nie zwykł *wybierać* staranniej nowości wystawianych na scenie warszawskiej, dostała się ta „Męczarnia“ na otwarcie sezonu w Rozmaitościach.

Nie tylko z tematu, który zresztą od czasów Adama i Ewy należy do przestarzałych, ale i ze sposobu traktowania go, poznać odrazu, że to utwór minionej epoki i przebrzmiałych hasła na scenie i w literaturze dramatycznej.

Tenże sam Dumas, który Girardin'owi jego sztukę poprawiał, zdobył się od owego czasu na nowych parę waryacji na temat wiarołomstwa i posunął teorią swoją nawet tak daleko, że zamiast frazesami naprawiać upadłą żonę, poradził radykalniej karabinową kulą pozbywać się jej, jako wroga moralności i społecznego porządku.

Jest zatem w „Męczarni kobiety“ bardzo stara historia na bardzo stary sposób opowiedziana i z tego względu wydała się anachronizmem scenicznym, bo zabrakło jej dziś oryginalności w pomysle, rozwiązaniu i obrobieniu dobrze już zużytego tematu.

W „Męczarni kobiety“ są trzy typowe figury tego rodzaju życiowych i scenicznych historii: mąż, żona i ten trzeci, a w dodatku uzupełniającym — siedmioletnie dziecko i gadatliwa przyjaciółka domu.

Mężem jest młody bankier paryzki, pan Dumont, kochający nad życie swą żonę, Matyldę, i swą jedynaczkę, Janinkę; po trzech latach bezdzietnego małżeństwa dał im — tym razem piekło, nieniebo — tę pociechę, używszy za pośrednika „tego trzeciego“ właśnie, namiętnego, gwałtownego i nieuczciwego hiszpana Alvarosa, który jest współnikiem Dumont'a, wierzycielem jego i najbliższym przyjacielem od lat ośmiu.

On to bowiem pożyczył Dumontowi kilka (!) milionów franków przed ośmiu laty i ufundował swym kapitałem dzisiejszą fortunę bankiera. (W sztukach francuskich zazwyczaj milionami sy-
pie się, jak plewą). Pożyczka ta wszelako nie była bezinteresowną, bo namiętny hiszpan w procencie zabrał żonę swemu dłużnikowi — bez jego wiedzy.

Co zaś najbrzydsze i najmniej w sztuce zrozumiałe, to właśnie fakt, że żona, kochająca podobno bardzo i jedynie tylko swojego męża (suma to nam powtarza i zaklina się wobec zdradzonego małżonka), pozwoliła się zabrać Alvarezowi, jak gdyby była nie kobietą, nie istotą obdarzoną rozumem, wolą, ambicyą i świadomością swoich uczynków, ale — bankierską kassą, do któ-

rej jeden klucz w rękę męża a drugi w rękę współnika.

Alvarez nie darmo jest rodakiem Torquemady; przez lat ośm swojego stosunku wiarołomnego z Matyldą bierze ją na tortury bezustannie i tą gwałtowną miłością umęcza, jak ofiarę w hiszpańskie kleszcze schwyconą. Zazdrośnym jest o każde jej spojrzenie, każdy uśmiech, każde dobre słowo powiedziane do męża; jak cień snuje się za nią wszędzie, pilnuje na każdym kroku, śledzi, podgląda, aby potem w cztery oczy obsypywać wyrzutami i zamęczać.

Autor chciał wzbudzić w nas współczucie i litość dla tej „męczennicy“, która zdobywa się na heroiczną... niekonsekwencję, kiedy w stanowczej chwili oddaje dobrowolnie mężowi list, odsłaniający mu jej stosunek z Alvarezem; ale pomimo wszelkich usiłowań p. Girardin'a, nie możemy jakoś przejąć się głębiej sytuacją jego bohaterki, bo nam raz po raz nasuwa się na myśl to Molierowskie: „*Tu l'as voulu, George Dandin!*“

I ta zamęczana pani Matylda ani szacunku, ani litości naprawdę w widzu znaleźć nie może, bo na usprawiedliwienie swojej winy nie ma faktycznie nic do przytoczenia; miała męża młodego, dobrego, kochającego ją ślepo, zasnętego, który jej niczego nie odmawiał, otaczał zbytkiem, dogadzał w każdym zachceniu, którego — jak sama mówi — kochała równie jedną, prawdziwą miłością, i obok niego znów, względami zaszczytu, do spółki domowego szczęścia dopuszcza... pana Alvareza przez lat ośm.

Prawda, że kobiety bywają psychologicznymi zagadkami, ale pani Matylda Dumont jest dla mnie zagadką bez rozwiązania, zwłaszcza w ten sposób, w jaki mi to p. Girardin sugerować usiłuje.

Albo ta pani była od dzieciństwa płytką, lekkomyślną, niepoctywną wietrzną, która nigdy poważniej ani życia, ani siebie, ani niczego nie brała, w takim razie — rozumiem jej zapomnienie się i stosunek z Alvarezem, którego owocem jest Janinka i dalsze konsekwencje; ale wówczas nie a nie zrozumieć nie mogę jej „męczarni“, jej wyrzutów sumienia, jej łez, jej tragicznego heroizmu i przynajmniej się nagle po ośmiu latach najbrzydszej zdrady do wiarołomstwa przed mężem z miną rozpaczliwą skruszonej grzesznicy. Zkąd nagle ta wzniosłość uczuć, ten zmysł etyczny, to poczucie się do winy i chęć odpokutowania za nią — po ośmiu latach?...

Autor stara się ów moment psychologiczny umotywić wprawdzie wyjątkowymi okolicznościami. Pan Alvarez dopiekl już swoją zazdrością i swymi wyrzutami do żywego swojej ofierze, stał się prostoprostem harpią, która w pocałunkach gryzie i krew ciepłą wysysa; świat (po ośmiu latach dopiero!) zaczyna się czegoś domyslać i robić plotki uwłaczające honorowi państwa Dumont, z powodu stosunku z nieodstępny Alvarezem, lada chwila pogłoski te dojdą do uszu zdradzanego męża i utworzyć mu nareszcie oczy (tak późno!); kochanek wreszcie żąda, aby uprzedzając katastrofę uciekli razem, zabrawszy z sobą Janinkę.

W takiej chwili Matylda, nie umiejąc rozplatać kolizji i uratować pozorów, (które przez ośm lat chyba z wielką dyplomacją i zręcznością kobiecą musiała pokrywać wobec męża i świata), oddaje mężowi list Alvareza, wzywający ją do ucieczki.

Effektowny to paradoks na scenie, ale nie prawdziwy, niekonsekwentny i niczem w charakterze samej bohaterki nieumotywowany poprzednio.

Niechby zresztą i tak było, skoro autorowi do zaczepienia dramatycznej sytuacji potrzebnym się wydawał taki haczyk, jednak to, co potem następuje, wysuwa się już zupełnie z granic realnej i psychologicznej prawdy.

Jak myślicie? co robi mąż najhaniebniej w świecie zdradzany, co robi bankier paryżski, finansista, człowiek praktyczny i rozsądny przeciw, z zawodu swego skłonny do traktowania rzeczy poważnie, trzeźwo, z kalkulacją dobrą i dbałością o zysk zarówno, jak i honor firmy?...

Robi to, na co zagorzały romantyk, przesadny idealista, melodramatyczny bohater w roli „szlachetnego“ aż po paznogie oryginała zdobyć-by się zaledwie potrafił; oto wymyśla sobie tak wyrefinowaną zemstę, tak wysubtylizowany odwet,

tak wyspekulowany na zimno w takiej gorącej chwili planik dla ukarania winowajców, że widząc z podziwem wzrusza ramionami i powiada:

— Panie Dumont, pan jesteś figurą z papendeklu, a nie mężczyzną i człowiekiem z krwi i kości; pan nie byłeś nigdy bankierem i finansistą, pan jesteś frazesem tylko, abstrakcją, utworzoną w głowie swojego autora — publicystą, szermującą go pięknymi słówkami w artykułach wstępnych na temat chwili bieżącej. Jak to, panie Dumont, pan dowiadujesz się o tem, że pański spółnik i przyjaciel przez ośm lat był kochankiem pańskiej żony i w panu nie burzy się krew, nie budzi wściekłość, nie odzywa się instynkt człowieka honoru, tylko kunktator, który się zastanawia, co ma zrobić w takiej sytuacji?.. I robi co?.. Każde winnym znęcać się nad sobą samym jeszcze oardziej, a za całą karę ściąga na nich... różeczkę opinii publicznej wówczas, kiedy pręgiem byłby jeszcze za łagodnym wymiarem sprawiedliwości. Nie chcesz pan wobec świata przyznać się do tego, że cię żona sromotnie zdradziła, bo ludzkie języki wstrętem pana przejmują i dlatego zamiast właściwego powodu podsucasz urobioną na przódce, a niezręczną bajeczkę o bankructwie swoim?.. Ależ to poprostu śmieszne, by na pańskie żądanie pan Alvarez w ciągu dwudziestu czterech godzin wycofywał się ze spółki, żądał zwrotu danych kilku milionów i doprowadzał pana nibyto do ruiny finansowej, skutkiem której żona porzuca pana, obawiając się nędzy przy pańskim boku?.. To zresztą i bardzo niepraktyczne, bo czyż pan sądzi, że opinia publiczna na tem poprzestanie zechce i nie będzie szperać jeszcze gorliwiej, aby się doszukać właściwych powodów tak na głego zerwania spółki „Dumont i Alvarez“, a wtedy domysły jej mogą się stać dla pana i pańskiej dobrej sławy jeszcze bardziej kompromitującymi... Nareszcie, czyż pan — bankier, finansista, spekulant milionowy, na seryo tak mało wagi przywiązujesz do swoich pieniędzy, że gotów jesteś w jednej chwili pozbyć się całego majątku i bardzo szlachetnych nawet porządów, w chwili affektacji wyjątkowej i zgodzić się na... nędzę, na ciężką pracę w kantorach dotychczasowych swoich kolegów na giełdzie?.. Nie, przepraszam pana, ale to mi się nie wydaje wcale prawdopodobnem, jak na bankiera paryżskiego i milionera naszych czasów.

W ten sposób przemówiłby do niego widzą, obdarzony choć odrobiną zdrowego rozsądku i miałby zupełną rację, a już co do ostatniego — (omal nie napisałem głupstwa) — pomysłu p. Girardin'a, aby siedmioletnie dziecko pomiędzy niby — ojcem a matką robiło wybór i oświadczało się, przy kim chce pozostać, tenże sam widzą może tylko uśmiechnąć się i wzruszyć ramionami, znicierniawiony nadużywaniem jego dobrej wiary.

W ogóle to dziecko, które się popisuje swoją inteligencją i swoim instynktem moralnym, które w zakończeniu odgrywa rolę sędziego, sprawia wrażenie wręcz przeciwne zamiarom autora; jeszcze jaskrawiej podkreśla „winę kobiety“ i jeszcze paradoksalniej nastroja rozwiązanie sztuki.

Dumont zabiera je matce, uważając się za jedynie uprawnionego i uzdolnionego do wychowania uczciwej kobiety z tej małej dziewczynki, w której odezwać się mogą atawistyczne skłonności Matyldy i Alvareza; żeby zaś dopełnić miary swojej teoretycznej szlachetności, na zapytanie Janinki, czy zobaczy jeszcze kiedy matkę? odpowiada wiele dającym do myślenia wyrazem:

— Możel..

Pociesz się zatem szanowna publiczności, państwo Dumont, także zejda się jeszcze może kiedyś, gdy on się dorobi a ona oswobodzi zupełnie z hiszpańskich kleszczy swego kochanka; tylko po co było robić w takim razie tyle hałasu o nie, tyle męczarni kobiety i umęczenia widzów przez trzy akty? — na to ci ani autor ani sztuka nie odpowie.

Utwór Girardin'a, mówiąc żargonem zakulisowym, zrobił z miejsca „klapę“, czego uchwycił Boże, nie chciałbym uważać za prognostyk dla następnych nowości, ale dobrze-by było, aby się

nad nim zastanowiła reżyseria, zanim znów sięgnie naosłep po nową sztukę.

Artyści nasi grali starannie: p. Marcello poświęcił dużo talentu, dużo łez i jęków na ofiarę tej „męczarni“, p. Ładnowski (Alvarez) był ponuro namiętym hiszpanem, p. Nowicki mężem, nie zbyt seryo biorącym swą dramatyczną sytuację, a p. Barszczewska przyjaciółką domu, która popisywała się więcej sprężystością języka, niż cieniowaniem dykcji.

Rolę dziecka zadziwiająco dobrze grała mała Janinka Rotterówna.

Na dokładkę do „Męczarni kobiety“ dodano „Pierwszego pacjenta“, jednoaktową humoreskę Jordana, która o wiele właściwszy miała pierwotnie tytuł: „Z nudów“, bo lepiej tłómaczył on rzecz samą, osnutą na kąpielowej awanturze młodej mężatki, udającej wdówkę, i młodego pustaka, ukrywającego przed nią, że nie tylko jest żonatym, ale i ojcem kilkorga dzieci.

Państwo ci flirtują z sobą z nudów u wód zagranicą, wikłają się wzajemnie w kolizje, które sprytny doktor, potrzebujący pacjentów, stara się skutecznie usuwać.

Humor w dyalogu i w figurach przeważa nad komizmem sytuacji w tej drobnostce utalentowanego autora, który również „z nudów“ na letnim wypoczynku musiał zapewne naszkicować ten obrazek, niewiele przykładając do niego wartości.

Pn. Czaki trzymała prym w odegraniu scenicznego Scherza, które pp. Szymanowski, Woźniak i Grzywiński wykonali zbiorowymi siłami.

M. Gawalewicz.

RUCH MUZYCZNY.

Znakomite talenta kobiece. — Panna Krzyżanowska i pani Saville. — Towarzystwo Muzyczne. — Nowy tenor. — Nowe wydawnictwa.

„Bluszcz“ jako pismo specjalnie poświęcone kronice „działalności kobiecej“, powinien z urzędu zwracać szczególniejszą uwagę na artystki; te bowiem w pracy swej dochodzą niejednokrotnie do zdumiewających rezultatów, bądź pod względem moralnym, pobudzając w drugich szlachetne i potężne uczucia, bądź też i pod materialnym, gromadząc z łatwością środki mogące im zapewnić wpływ niemały w społeczeństwie. Istotnie, kobieta, ten nieuchwytny i uroczy ideał wdzięku, zdolna jest swoją produkcją rozentuzymować tłumy do najwyższego stopnia — taka jest siła jej niby biernej natury. Dziś coraz częściej spotykamy się z dowodami tryumfalnej działalności kobiety, choćby tylko na koncertach, z których niejedną z samych sił żeńskich się składa...

Kronika nasza dzisiejsza da nam sposobność do zapisania w księdze pamięci — i to w sposób zaszczytny, dwóch nowych nazwisk, należących do przedstawicieli płci pięknej.

Pierwszą jest panna Helena (właściwie Halina) Krzyżanowska, talent niezwykły, bo nie tylko odtwórca, ale i twórca. Wykształcona w szkole Lecoupeya w Paryżu jako fortepianistka, posiada grę wyrobioną, śmiałą, jedną i myślącą. Jej technika jest jasna i wyrazista; jej frazowanie wysoce inteligentne, techniczne pewnym zdrowiem i energią. Teżsame zalety posiadają i jej kompozycje, jedyną jej stanowisko prawie wyjątkowe w dziedzinie talentów kobiecych. Prawdziwa twórczość na polu muzycznym dotychczas pojawiała się u kobiet niezmiernie rzadko, i rzadko nosiła na sobie cechy istotnej samodzielności. Pani Schumannowa, lubo szlachetne pisała utwory, była tylko odbiciem dzieł swego genialnego małżonka, niby księżycem, pożyczającym od niego światło. Nazwiska pań tworzących pieśni interesowały ogół tylko sporadycznie, jakimś drobniakiem bez głębszego znaczenia, jak:

„Ah! dites lui“ lub „Si vous n'avez rien à me dire“. Dopiero w ostatnich czasach w Paryżu zjawiało się kilka kobiet, wybitnie pod względem swej twórczości wyróżniających się, jak Augusta Holmès, Cecylia Chaminade i inne. Te panie umieją już władać szerszą formą, pisać dzieła ansamblowe, orkiestralne, i w nich wykazywać głębszą wiedzę i ślady studyów poważnych. Taż samą drogą kroczy i panna Krzyżanowska, uczennica pana Guiraud, która, jak Lohengrin na łabędzie, przyjechała do nas na... sonacie. Sonata to prawdziwa w czterech częściach „bardzo dobrze“ zrobiona, a przytem pełna życia i sympatycznej werwy. Znamy ją całą, jakkolwiek publicznie artystka grała tylko jej część pierwszą, na wieczorze Towarzystwa Muzycznego. Jest w niej siła i elegancja, są dobre motywy i szczególniejszą część środkową czyli tak zwane przeprowadzenie, nader interessujące. Wiele wdzięku ma menuet, którego szkoda, że nie zagrała nad program artystka. Prawda, że zagrała nam wybornie opracowane: „à la Gavotte“, gdzie i mądry kontrapunkt reprezentowany jest bardzo przyzwoicie i kunsztownie. Oprócz tego słyszeliśmy Romans i Wale, a znamy jeszcze „aryę“, i we wszystkich tych utworach widzimy tyle pięknych myśli i dobrej formy, że witamy w osobie panny Krzyżanowskiej nowego i bardzo zdolnego kompozytora.

Drugą osobą, która laury i oklaski zbiera coraz liczniejsze, jest śpiewaczka pani Brown-Saville, której występy w „Lucyi i Rigolecie“ już opisaliśmy. Prawdziwym „cheval-de-bataille“ artystki okazała się rola Małgosi w „Fauście“, opracowana z drobiazgową pieczołowitością i bardzo poetycznym pojęciem. Pod względem aktorskim jej Małgosia jest dziewczęciem pełnem nie tyle naiwności, ile świadomego siebie wdzięku, oraz szczerzego uczucia. Szczegóły związane są tu w całość zupełnie logiczną i estetycznie piękną. Od uroczo wypowiedzianego „opowiadania“ o stracie matki i siostry, do miłosnej ekstazy na dnie, do rozpaczliwych wysiłków ujęcia swego ducha w scenie kościelnej, do niemal religijnego przejęcia przy końcu, pani Saville przeprowadza słuchacza przez całą gamę uczuć. Przytem pod względem muzycznym wykonanie jest wielce poprawne i ciekawe. Wiele ustępów jest przyspieszonych cokolwiek, i z pewnością niejedną z nich (jak ballada np.) rzadko wykonywany był u nas tak zgodnie z życzeniem autora. Do takich chwil szczęśliwych zaliczamy zakończenie arii z klejnotami, w którym tryl i idąca po nim długa nuta połączone są w jednym oddechu, a nie kawalkowane, jak się to słyszy nader często.

Również pięknie, jeżeli nie jeszcze piękniej wywiązuje się artystka z roli *Violetty*. Przedewszystkiem więc w pierwszym akcie wykonywa arię z techniczną precyzją i maestryą, której nie zarzucić nie podobna. Gammy są perliste, równe, śmiałe, nuty wysokie prześliczne. Zakończenie ostatniego aktu prawdziwie poetyczne i uroczne. Przy tak delikatnej emisji głosu, wyborną wydaje się śmierć i omdlewające tony pieśni konającej bohaterki. Jest to chwila niezrównanej poezji scenicznej. W ogóle w tem, co się nazywa pieśnią w głosie, dochodzi pani Saville do swych efektów najpiękniejszych i najbardziej indywidualnych. Przytem gra w ostatnim akcie wystudywana jest znakomicie.

Emissya głosu pani Saville wydaje się tak naturalną, że wobec niej trudno słuchać spokojnie niektórych śpiewaków, u których z powodu braku piana, każde uczucie przechodzi z konieczności w krzyk namiętny. Pan Guiraud, na przykład, jest tenorzystą sympatycznym, pełnym zapału i mocnym sprawić zadowalniające wrażenie w rolach gwałtownych jak „Kawaleria“ lub „Pajace“. Niepodobna mu jednak się dostroić do cieniowań arii ogrodowej w „Fauście“, do ustępów delikatnych duetu, a może najbardziej jego głośny śpiew nas raził w owym ostatnim akcie *Violetty*. Jakiem-że jest okrucieństwem krzyczeć głośno przy osobie konającej, choćby się jej w ucho kładło wyznanie miłości? Zda się, że słyszymy ją mówiącą słabym głosem: „Dobrze, dobrze, ale... ciszej trochę!“ Piano, jeżeli je

wziąć pragnie artysta, jest jakimś pół-głosem bez dźwięku, który brzmi tak jak wiolonczella, gdy się gra na niej bokiem smyczka.

Drugim, nowym tenorem, którego występy w „Lucyi“ i „Faworycie“ słyszeliśmy, był pan Giannini-Griffoni. Ma on znów ładne piano, i widocznie jest śpiewakiem dobrej szkoły; ale przy pierwszym swym występie tak owego piana często używał, że wyglądało to bardziej na zmęczenie lub oszczędzanie się, niż na efekt artystyczny. W „Faworycie“ oszczędzał się mniej, i śpiewał ładnie akt pierwszy, a prześlicznie słynną cavatinę: „Spirto gentil“ w ostatnim akcie. Ale nie ulega kwestyi, że się *negliżuje* w ansamblach, i w ogóle rzadko nam daje cały swój głos, przesadzając w używaniu efektów zbyt łagodnych. Tak więc, jak koło owego pacjenta z bajki dwóch było lekarzy, jeden „Tem lepiej“, drugi „Tem gorzej“, tak my mamy dwóch tenorów, z których jeden śpiewa *za głośno*, drugi *za cicho*, a któż śpiewa akurat w miarę? Nikt chyba inny, tylko pan Czernicki, który jest w „Halce“ wybornym i inteligentnym Jontkiem, a występuje tak rzadko, że nam pisać o sobie prawie nie daje „spokoju“. Podobnie i pani Konarska należy do tej szczupłej liczby artystek, co nie forsowaniem i sztucznym pathosem, ale dobrą metodą i uczuciem przemawiają do słuchacza; niechże jej za to będą dzięki!

W Towarzystwie Muzycznym grał mały skrzypek Argiewicz, który od czasu ostatniego występu objechał pół Europy, budząc wszędzie zapał i podziw. Istotnie, zadziwia w tak młodym chłopcu i techniczne wyrobienie i dojrzałość artystyczna — nie lada to zadanie np. wywiązać się przyzwyciężenie z koncertu Beethovena! Teraz wielki mały artysta niech powróci do studyów, niech się uczy kompozycyi, aby mógł głębiej sięgnąć w arkana sztuki, i utrwalić swe niezapieczone zdolności i indywidualne porywy. Przytem i wytrwałości z czasem nabierze, której w wieku jego żądać niepodobna w stopniu, odpowiadającym tak wielkim zadaniom. Przyszłość jego wówczas będzie świetną.

Chcielibyśmy jeszcze wspomnieć o niektórych nowościach muzycznych, które jak z rogu obfitości wysypuje niestrudzona firma Arcta — o wspólnych tańcach Żeleńskiego (Polonez, Mazur, Krakowiak z „Goplany“), które wyszły z druku w czterorzędnym układzie autora. Wiemy również, że Noskowski napisał rzecz świeżą, i bardzo bardzo piękną... Ale o tem zapewne pomówimy w następnej kronice.

Jan Kleczyński.

Z CZECH.

Praga.

Wesoły ruch, jaki ożywia o tej porze miasto nasze podczas przejazdu wracających z wód kuracyzów, spotkał się ze śmiercią narodowym, spowodowaną przez śmierć szlachetnego i wielce społeczeństwu czeskiemu zasłużonego człowieka, Wojciecha Naprstka.

Urodzony w 1826 r. z rodziców ubogich patrzył od dzieciństwa na ich pracę i oszczędność, a matka, wielkich chrześcijańskich cnót kobieta, słynęła z miłosierdzia swego dla uboższych jeszcze od siebie, a jak pojmowała obowiązki macierzyńskie i wpływ oświaty na umysł, wykazuje ten szczegół, że najmowała się do mycia podłóg, aby zarobić grosz jakiś na kształcenie umysłu synów, Wojciecha i Ferdynanda, którzy uczyli się też gorliwie uczęszczając do gimnazjum, a następnie do uniwersytetu, gdzie Wojciech słuchał wykładów filozofii, a następnie w 1846 roku udał się do Wiednia na wydział prawny, będąc zarazem nauczycielem w jakimś domu magnackim, co przecież nie dało mu zapomnieć o gnieździe jego rodzinnem, o Czechach, i był też współpracownikiem czasopisma wychodzącego w Pradze „Wzela“ (Pszczola).

pisma wychodzącego w Pradze „Wzela“ (Pszczola).

Dla studyowania historii narodów wschodnich pragnął się udać do Azji, ale wkrótce potem młodziem dwudziestodwuletni puścił się do Ameryki, gdzie pracować musiał na kawałek chleba jak prosty wyrobnik, ale duch w nim nie upadł. Chwile wolne od ciężkiej pracy poświęcał badaniom instytucji Stanów Zjednoczonych i powoli wybił się ponad biedę. Założył w Milwaukee księgarnię i czytelnia, w 1857-ym roku wrócił do kraju, do Pragi, gdzie czynny zawsze i pełen szlachetnych chęci począł działać u podstaw, jak się wyraził. Pamiętając czem była dla życia jego matka, zapragnął podnieść umysłowo Czeszki, a praktyczny zarazem i pojmujący znaczenie pracy kobiecej w gospodarstwie domowym, obznajmiał je z nowożytnymi, w Ameryce już działającymi pomocami maszyn rozmaitych, tłumacząc w publicznych odczytach, że urządzenie takie gospodarstwa rodzin nie tylko pracę tę uczyni lżejszą, ale ułatwienie jej da kobiecie czas i siłę na kształcenie się umysłowe, więc na rozwój duchowy.

Z jego inicjatywy założonem zostało w Pradze muzeum przemysłowe, do czego dała mu podjętą przemysłową wystawę londyńską w 1862 r., bo patrzył na wszystko z punktu potrzeby z punktu postępu swego narodu, i zaraz też za powrotem z Londynu do Pragi urządził tam własnym trudem, własnym staraniem wystawę przemysłową z powtórzeniem jej w roku następnym 1863, a wpływ jego działał kręgiem coraz szerszym, uznanie stawało się większem i wybrano go też na członka rady miejskiej, na posła do sejmiku krajowego, a ludzie dobrej woli zaczęli się skupiać koło niego. Kładąc zawsze i niezmiennie nacisk wielki na wpływy, na oddziaływanie kobiety przez rodzinę na społeczeństwo, założył „klub pań“, który nazwał amerykańskim ze względu na to, że zacieśnione pole działalności kobiety czeskiej chciał rozszerzyć przez taki jej współudział w pracy ogółu, jako widział w Stanach Zjednoczonych.

Biblioteka jego, złożona z dzieł cennych a zajmująca sal kilka, stała otworem dla każdego, kto chciał oświecać się i podnosić umysłowo, że przytem wziął to sobie za obowiązek, aby nabywać każdą uczciwą książkę czeską, a wytworzył się któregoś zbioru wyższego znaczenia, a zbiory jego w różnych gatunkach tak wzrastały, że dla zgromadzenia ich razem wznosił wielki, w szlachetnym stylu budynek, który wraz z tem, co mieścił w sobie, darował społeczeństwu czeskiemu. Życie jego całe było też jedną zasługą, jednym wielkim przykładem dla ludzi, co może praca, co może wytknięty sobie cel szlachetny, a do podniesienia jego wpływów, jego oddziaływania na ogół, należała wielka prostota, wielka uprzejmość w obejściu się z ludźmi. Każdą czystą ręką uczciwego człowieka uściśniętą tak, jakgdyby był mu bratem, a że nie przedziergiwał się nigdy w wielkiego pana, że był to zawsze człowiek skromny, pełen prostoty, przystępował do niego z zaufaniem każdy z malarzy, którego nigdy buta pańska, a raczej buta półpanków nie raziła.

Praga z bogaci się o jeden jeszcze zbiór szacowny. Spadkobiercy kompozytora Smetany, o którego śmierci wam donosiłem w swoim czasie, ofiarowali wszystkim po nim pamiątki Teatrowi Narodowemu, co stanęło się obowiązkiem muzeum, które nosić ma nazwę zmarłego mistrza. Nakładem Urbanek ofiarował już wydanie całkowite jego kompozycyi, których cykl, złożony z ośmiu oper, przedstawiony był w miesiącu ubiegłym z rozpoczęciem się operą historyczną, która zawsze przepelnia słuchaczami ogromną salę *Narodnego Divadla* „Libusza“, potem szła historyczna też i wielce tu cenniona ze względu zapału gorących uczuć, których jest wyrazem „Bandenburczycy w Czechach“, historyczna również „Dalibor“ i „Most dyabli“ na tle romantycznych podań ludowych, „Dwie wdowy“, „Pocłunek“, operka wielce przez publiczność lubiona, a zacerpnięta z życia ludu, wreszcie opera komiczna „Tajemnica“. Na zakończenie tej uczty muzycznej urządzono koncert złożony z kompozycyi zgasłego mistrza, rozpoczynający się od kwartetu „Z mego życia“ a dalej z poematem symfonicznego „Na Vlast“ (ojczyzna) w pięciu częściach oddzielnych, „Wyszehrad“, „Czeska pieśń“,

„Weltawa, „Amazonka, „Z czeskich pol i gajów.“ Zmarł tu również zasłużony scenie czeskiej dramaturg, Franciszek Jarzabek, wybitny członek staroczeskiego stronnictwa, gorącego serca i szlachetnych uczuć człowiek, którego dramat „Syn człowieczy,“ należy do wyższych utworów dramatycznej literatury czeskiej, a dodać należy, że nie jest ona bynajmniej ubogą i nieraz przychodzi mi na myśl pytanie, dla czego scena nasza, czerpiąc tak często z francuskich, niemieckich utworów dramatycznych nie zwróci się w tę stronę, gdzieby znalazła niejedną rzecz wyższej wartości?

Do bardzo miłych, wesołych homoresek należy „Wycieczka pana Brouczka na księżyc,“ napisana z werwą wesołą. Muzyka cenionego tu bardzo kompozytora Kowarzewicza podobała się też bardzo i publiczność obdarzyła go wieńcami, zarówno jak i twórcę libretta, a dodać należy, że ta publiczność nietylko Pragi, ale i Czech całych interesuje się wielce teatrem, uważa go za instytucję publiczną, w czem się nie myli. Widowiska państwowe, odbywające się w Czeskim Lesie, w wiosce Horyce, położonej wśród malowniczej okolicy górzystej i lesistej, stoją wyżej niż podobne widwiska w Oberammergau w Bawarii; kostiumy są ściśle historyczne i tylko to jest, jak dla mnie, rzeczą niemiłą, że ponieważ odbywa się to w lecie, w czasie przebywania gości zagranicznych, więc aktorzy używają języka niemieckiego.

Lud czeski wykształconym jest tak, jak może żaden inny w Europie; czuje, myśli, za co wdzięczność należy się zasłużonej krajowi instytucji, „Maticej szkolnej“ która właśnie otworzyła swemi funduszami sto szkół, i to w okolicach, gdzie narodowość słowiańska jest silnie zagrożona przez brak odpowiedniej szkoły. Setna szkoła została otworzona właśnie w gminie Kopicach w pobliżu miasta Mosty gdzie według spisów urzędowych, ale dodać trzeba bynajmniej nie dokładnych, większość ludności ma być niemiecka. Po nabożeństwie odprawiającem się w dzień tej uroczystości, kościół cały brzmiał dźwiękiem starej pieśni śpiewanej z przejęciem gorącym przez lud pobożny „Svata Maria, Matko Boží.“

Obchodzić tu będą niedługo, bo za lat trzy jubileusz trzechsetnej rocznicy wyjścia pierwszego dziennika czeskiego. Daniel Sedlczan-sky, księgarz zamieszkały w Pradze, otrzymał w 1597 r. przywilej na wydawanie gazety pod tytułem „Noviny“ i pokazuje się iż Czesi wyprzedzili w tym kierunku Niemców o lat osiemnaście, bo „Frankfurter Journal“ pierwszy dziennik niemiecki, wychodzić zaczął w 1615 r. Wyprzedzili oni i inne narodowości, bo pierwsza gazeta angielska „The certain news of the present week.“ (Pierwsze wiadomości z bieżącego tygodnia) ukazała się w 1622 r. a dodać trzeba, że Czechy nie w tym jednym kierunku stały bynajmniej nie niżej od innych narodowości, jak tego dowodzi świeżo wyszła książka Ferdynanda Menczika: „Zasady gospodarstwa w wiekach XVI i XVII, przyczynek do dziejów czeskiego rolnictwa.“ Autor opierając się na starych dokumentach i pamiętnikach, nietylko przedstawia stan rolnictwa czeskiego w tych odległych czasach, ale ukazuje obraz stosunków wewnętrznych dworów, opisuje jak tam żyła czeladź dworska, co było obowiązkiem szafarza, klucznicy, jakie były dochody właścicieli ziemskich i zapłata czeladzi, najemników?

Kobiety nie stały tu nie niżej od mężczyzn, jak to jest i obecnie w rozmaitych gałęziach pracy. Odbyte w lecie bieżącego roku doroczne zgromadzenie „Towarzystwa pracy kobiet“ wykazało, że czynność ich jest wysoce dla kraju pożyteczną i nie ogranicza się do pracy czysto domowej, jak to uznaje cały naród czeski. Znaczna liczba kobiet należy do rozmaitych stowarzyszeń, o których powiedzieć można ogólnie, że są wielką dźwignią Czech tak pod względem moralnym jak i materialnym. Stowarzyszenie wielce zasłużone w tym kierunku, „Jednota“, liczy znaczną ich ilość a nie ograniczają się tu one do płacenia składki jedynie, choć i to ma niemалą doniosłość swoją. Na ostatniem zgromadzeniu Stowarzyszenia viceprezes, hr. Nostic, składał hołd kobiecie czeskiej za to, że nie pozbywa się cech rodzimych strzegąc dawnych obyczajów i wychowując w nich dziecko, że przytem rozumna i pojmująca znacze-

nie dawnych instytucji, nie usuwa się tu od udziału w pracy, a należy i do tych nawet gdzie działalność kobiety ograniczoną być musi, ale przykłada się do nich, płacąc składkę, jak tego dowodzi znaczna liczba kobiet, które, nie mogąc dla zajęć domowych czynnie działać w *Maticej szkolnej*, należą do niej jednak, przysparzając w ten sposób funduszy na rzecz oświaty.

Już to w ogóle Czechy uważają sobie za obowiązek obywatelski pomnażać kapitał majątku instytucji oświecenia publicznego a dodać trzeba, że bierze w tem udział i lud prosty; wieśniacy nie usuwają się od składek i nieraz wpłynę tu do skarby oświecenia publicznego grosz, złożony przez ręce zgrubiałe od pracy najprostszej i niedawno, bo w połowie ubiegłego miesiąca zjawiała się w biurze „Maticej“ wieśniaczka, przynosząc pięćdziesiąt kilka złotych reńskich jako ofiarę jednorazową. Uskładała ona tę sumkę z myślą obrócenia jej z czasem na wyższe kształcenie syna, który uczęszczając do szkoły parafialnej okazywał wyższe zdolności umysłu, lecz syn został jej wydarty przez kosę śmierci; która podcięła kwiat młodego życia. „Matica“ od pierwszej chwili założenia swego aż po koniec ubiegłego roku wzniosła dwa gimnazya, 49 szkół wydziałowych, 43 ludowych wraz z ochronkami i Czechy mogą być dumni z tego, że dochód ogólny na cele oświaty doszedł do 2.040.705 zlr., a rozechód przedstawiał 1.775.166 zlr.

Zakończę ten list wiadomością, która jest Czechom bardzo miła: Uczony przyrodnik i podróżnik po Afryce, o którym nieraz już wam pisałem, Emil Holub, otrzymał od króla wirtensberskiego order udzielany zwykle za zasługi wyższego znaczenia Zaszczyc ten nie zastałgo przecież w kraju, gdyż Holub wyjechał właśnie do Stanów Zjednoczonych na zjazd botaników amerykańskich. Wiadomości, jakie z tamtąd przywiezie, prześlę wam w liście następnym.

E.

KOREA.

Na dalekim Wschodzie wybuchła wojna; dwa narody, które wieki całe opierały się cywilizacji Zachodu, a później coraz bardziej ulegały wpływowi tej cywilizacji, zwłaszcza pod względem sztuki wojennej, Chińczycy i Japończycy stoją uzbrojeni naprzeciwko siebie. Przedmiotem sporu jest królestwo Korei, zajmujące półwysep tego nazwiska, i oddzielające morze Żółte od Japońskiego. Ten mały półwysep we wschodniej Azji, niebudzący dawniej żadnego interessu, dziś jest na ustach wszystkich.

Zanim rozstrzygną się losy prowadzonej wojny, o której dotychczas otrzymywaliśmy wiadomości niejasne i niepewne, rzucmy okiem na kraj godny uwagi, stosunkowo od niedawnego czasu dostępny dla naszych badań, a w którym wpływ Chin i Japonii, teraz właśnie walczy o przewagę. Profesor Siewers, autor cennego dzieła o Azji, daje w swej pracy zajmujące szczegóły o tym kraju. Najdawniejsze wiadomości o Korei sięgają czasów założenia w Chinach dynastji Czeu, t. j. 1122 r. przed Chr. W tym czasie przybył z północnych Chin na Koreę, Kisce, założyciel państwa korejskiego, które nosiło wówczas nazwę „Ch ōson“ t. j. kraj pokoju na wschodzie, a zajmowało tylko północno-zachodnią część półwyspu. W początku ery chrześcijańskiej, na północy, zachodzie i wschodzie dzisiejszej Korei powstała pewna liczba drobnych państw, które weszły w stosunki z Japonią; w r. 200 po Chr. Japonia owdlała niemi przemocą, a w 613 r. Korea zawarła z Japonią przymierze przeciwko Chinom. Lecz właściwie tylko Chinom zawdzięcza Korea swą cywilizację, od nich bowiem przyjęła alfabet, jedwabnictwo, buddaizm, ceramikę, kompas i różne umiejętności, które ztąd przeszły do Japonii. W r. 943, założył Wang jednolite państwo Korei,

z miastem stołecznem Songo (Wassong); przetrwało ono do r. 1392 pod tą samą dynastją.

Przez ten czas kraj rozwijał się pomyślnie, przyjął buddaizm jako religiją panującą, i nie prowadził żadnych sporów nazewnątrz ani nawewnątrz. Niekorzystna pod tym względem zmiana nastąpiła z upadkiem dynastji Wang, a przyjściem do władzy dynastji Ni, z której pochodzi obecny władzca korejski. Z początkiem XVI-go wieku Japonia znów mieszać się zaczęła w sprawy Korei, i doprowadziła ją w trzech wojnach od 1592 roku do 1598 do takiego upadku, że z konieczności, państwo zmuszone było szukać pomocy Chin; a w zupełną od nich zależność wprowadził następnie Koreę napad na nią Mandżurów; odtąd Korejczycy posyłali haracz do Pekinu.

Wskutek tego rozluźniły się stosunki z Japonią, utrzymywane od r. 1600 podawne, głównie za pomocą wzajemnych podarunków, z okazji zmiany tronu, a w r. 1800 ostatni Japończycy opuścili port Fusan.

Przez dwieście pięćdziesiąt lat blisko, Korea przecierpiawszy wiele z powodu przebytych wojen, ulegała ścisłemu zamknięciu granic; pomiędzy Koreą a Chinami ustanowiono nawet neutralny, niezamieszkały pas graniczny, obejmujący w rzeczywistości dolinę Hung-kiang i sięgający wałów palisady, przedłużenia owego sławnego muru chińskiego.

Tylko w Kaulimōn, nazwanem wrotami Korei, odbywały się corocznie trzy targi, umożliwiające stosunek między Chińczykami i Korejczykami. Po zniesieniu traktatu, t. j. od r. 1870, granicę między Koreą a Chinami stanowi rzeka Amnok czyli Jaluliang. Nowy zwrot w stosunkach Korei do zagranicy nastąpił w r. 1876; a mianowicie zbliżenie się do Japonii, która uznała jej niepodległość od Chin, i przygotowała tym sposobem powrót do dawnych z sobą stosunków, a zarazem wyzwolenie zpod władzy chińskiej, albowiem podarunki posyłane były jeszcze do Chin. W r. 1882 Korea weszła w stosunki handlowe z Ameryką, rok później z Niemcami i Wielką Brytanią, w r. 1884 z Włochami, a w r. 1886 z Francją. Trzy porty: Czemulpo na wybrzeżu zachodnim, Wusan czyli Gen'an na wschodnim, Fusan na południu, zostały otwarte dla okrętów wymienionych narodów, a odtąd zamknięcie Korei bezpowrotnie ustało.

Morze stanowi naturalną granicę Korei, tak od strony południowej, gdzie i wyspa Quelpart do niej należy, jak też od wschodu i zachodu; ma ona 218 650 kilometrów kwadratowych przestrzeni, a 10.519.000 mieszkańców, jest zatem trzy razy większą niż Bawarya, lecz ma ludności tylko dwa razy więcej. Zaludnienie jest nieznaczne, 40 głów na kilometr kwadratowy; niektórzy jednak statystycy są zdania, że ludności liczyć tu można do 12.000.000, gdyż obliczenie powyższe nie obejmowało małoletnich.

Korejczycy należą do rasy mongolskiej, wzrostu średniego, wysmukli, silni i wytrzymali, mają ciemne oczy, ukośnie do środka rozciągnięte, z pozoru podobni są do Japończyków, Chińczyka zaś przypominają głębookością charakteru. Wyznają buddaizm, lub wiarę Konfucjusza, wróżbiarstwo i wypędzanie dyabła, bardzo u nich rozpowszechnione, a głównie zajmują się wróżeniem niewidom; wąż zaś czczony jest jako świętość. Wieloletniem jest na Korei uprawnione, a położenie kobiety bardzo smutne. Z powodu nędzy panującej obecnie w kraju większa część Korejczyków może tylko wyżywić jedną żonę, której za to z tem większą zazdrością i surowością strzegą; przed domownikami kobieta zmuszona jest zasłaniać się jak przed obcymi, a spostrzeżona na ulicy przez mężczyznę, musi bezzwłocznie schronić się do domu. Ubiór dystygnowanej Korejki składa się z białych pantalonów, z białego lub brunatnego kaftana z rękawami, i z długiej białej spódnicy. Kobiety korejskie starannie pielęgnują swe włosy i celują w kunsztownych sposobach zaplatania ich. Ubiór głowy stanowi także ważną kwestyą u mężczyzn. Kapelusze pleciony z bambusowej trzciny, pomalowany na czarny lub żółty kolor, przybrany wstążką lub sznurkami pereł, róż-

nej bywa wielkości; po rozmiarach kapelusza sądzić można o pochodzeniu i godności właściciela. Im jest bogatszy, tem kapelusz przez niego noszony jest większy i wyższy.

Korejczycy, na równi z ludem Eskimów, jedzą bardzo obficie, najwięcej może ze wszystkich narodów, dlatego też i śpią nadzwyczaj wiele. Ulubioną ich potrawą jest mięso młodego psa, prztem popijają japońskim piwem, wyrabianem znakomicie w państwowym browarze w Tokio. Jak wszystkie wschodnie narody, spożywają niezliczoną ilość ryb, a zwłaszcza śledzi; ulubionym ich owocem jest kawon. Domy budują tylko niskie, tak w miastach jak na wsi, w pierwotny bardzo sposób, z gliny, z dachami krytymi słomą. Wewnątrz mieszkanie, jakkolwiek podobne nieco do japońskiego, nie odznacza się taką czystością i porządkiem; całe urządzenie składa się jedynie z naczyń potrzebnych do jedzenia i picia. Stołów nie znają wcale, jak również łóżek, a krzesła tylko wyjątkowo; Korejczycy siadają zwykle na ziemi, z nogami założonemi na krzyż, tak w domu, jak w szkole i na zebraniach. W mieszkaniach zamożniejszych Korejczyków podłogi wystlane są słomianymi matami; śpią oni na materacach, niekiedy umieszczonych na drewnianych podstawach, pierwotnego bardzo kształtu, będących już przedmiotem zbytku; biedniejsi — poprostu na podłodze.

W porównaniu z Chinami Korea ma bardzo mało większych miast, jest ich zaledwie ośm. Stolica Söul, założona przez panującą obecnie dynastję Ni, liczy 250.000 mieszkańców; leży przy zbiegu dwóch potoków rzeki Hankang, która dopiero na 130 kilometrów od ujścia staje się spławną, a więc po za stolicą. Miasto ma zupełnie chińską architekturę, lecz bardzo niewielka liczba budowli przypomina czasy poprzedzające wpływ Chińczyków.

Najtrwalszą budowlą w Söul są mury miasta, mające 12 mil angielskich długości, i posiadające ośm bram, odpowiednio do liczby kierunków róży wiatrów. Bramy te, nad którymi wznoszą się podwójne, wysokie łukowe dachy w stylu chińskim, stanowią najwyższe budowle miasta; zamknięte po zachodzie słońca, otwierane są wczesnym rankiem. O zmierzchu mężczyźni obowiązani są opuszczać ulice miasta, pozostawiane o tej porze na kilka godzin wyłącznie kobietom do spaceru i wytchnienia. Ciężkie klucze bram, mające stope długości, przechowywane są starannie w ciągu nocy w pałacu królewskim. Söul jest jedyną miejscowością, gdzie podróżny znaleźć może hotel, herbaciarnię lub jakąkolwiek gospodę. Z Europejczyków jedynie dyplomaci i misjonarze mają pobyt tu dozwolony. Drugie z kolei miasto na Korei jest Phjong-jang nad Tatung-jangiem, prócz tego wyróżniają się Witsiu czyli Wija, Antsiu, Hwangtsiu, Kongtsju, Hongtsju, wszystkie na Zachodzie; Söngtsju i Tsingtsju na południu; Wschód nie posiada wcale większych miast.

Rolnictwo stanowi na Korei podstawę kultury kraju, a przedewszystkiem ważną rolę odgrywa uprawa ryżu; oprócz tego uprawiają proso, pszenicę, hreczkę, kukurydzę, fasolę; na Północy kartofle, kawony, pieprz, ciemierzcznik, konopie, bawełnę, pokrzywę i ricinus. Plantacyi herbaty wcale niema; zajmują się tylko wszędzie plantacyą tytoniu i hodowlą jedwabników. Na drugim planie stoi na Korei hodowla bydła, a zwłaszcza wołów; wół jest tam doskonałe karmiony, tłusty, duży i silny; wyprawiają z niego skóry, a oprócz tego zajmują się także wyprawą futer z borsuka lisa, dzikiego kota, tygrysa i pantery.

Przemysł jest nieznaczący; wyrabiają jedwabne tkaniny po części z włókna roślinnego, częścią z przędzy jedwabników, oraz w wielkiej ilości papier, daleko trwalszy od chińskiego, a po nasyceniu go tłuszczem, papier ten służy na wyrób serwet, płaszców od deszczu i parasoli.

Handel Korei jest mało jeszcze rozwinięty. W r. 1889 z trzech otwartych portów przywieziono towaru za 3.378 000 dolarów a wywieziono za 2.216.000 d., a zatem przywóz znacznie przewyższył wywóz, lecz w r. 1890 przywóz wyniósł 4.728.000, dolarów a wywóz 4.300.000. Najbardziej ożywiony pod względem handlowym jest port

Czemulpo, dwa pozostałe niewielkie mają znaczenie.

Handel wewnętrzny jest dotąd przeważnie w rękach kramarzy wędrownych, którzy oprócz towarów chińskich i japońskich dostarczają i wyrobów europejskich.

Torem komunikacyjnym są wąskie drożki; tylko od Söul do Witsju nad chińską granicą jest przeprowadzony gościniec dla wozów zaprzężonych wołami.

Ustrój królestwa korejskiego jest wzorowany na chińskim; rząd monarchiczny, samowładny; panujący od r. 1860 król Li-Hung ma obok siebie kilku ministrów i radę państwową, której obecnie przewodniczy amerykańsin, poprzednio zaś przez długie lata należał do niej Niemiec, pan von Möllendorf. Organizacya państwa wzorowana jest także na chińskiej, a urzędnicy również źle płaceni, zmuszeni są więc, dopuszczać się takich samych zdzierstw i ucisku ludności, jak urzędnicy w Chinach.

Sądownictwo, rachuba czasu, miary, wagi, wszystko to przyszło z Chin, a nawet corocznie przywożąc kalendarz z Pekinu. W piśmie posługują się Korejczycy językiem chińskim, alfabet chiński używany jest ogólnie nawet przez niższe klasy, a zdarza się często, że i urzędnicy pisać po korejsku nie umieją.

Pod względem politycznym Korea rozpada się na wzór Chin na ośm prowincyi czyli Do, będących pod zarządem gubernatorów. W ogóle Koreę uważać można za przestarzałą edycyą Chin, odzież odpowiada chińskiej z czasów dynastyi Ming, sprzęty i ornamenty przypominają stare chińskie formy. Korea otrzymała cywilizacyą od Chin i udzieliła jej Japonii, a gdy sama zachowała ją w niezmienionej formie, cywilizacya w Japonii rozwijała się z biegiem czasu.

Pod niektórymi względami jednak odróżnia się Korejczyk od swego chińskiego pierwowzoru. Jest to może w związku z większym rozwojem umysłowym, że skostnienie buddaizmu nie przeszło tu bez śladu, jak w Chinach, i Korejczycy z wrażliwym upadkiem tej religii, coraz więcej od niej stronili. Najświetniejszy czas buddaizmu w Korei przypada na wieki średnie, w nowych czasach upadł, duchowieństwo nie dostępuje takiej czci jak w Chinach i Tybecie, a liczba świątyń jest stosunkowo mniejsza. Największy klasztor na Korei, a zarazem jeden z najstarszych jej gmachów jest Tong-dosa, dotąd jeszcze miejsce schronienia czterystu, po większej części nieukształconych, mnichów.

Buddaizm upada, lud powraca do zabobonu, a chrześcijaństwo nie zjednywa sobie wielu zwolenników, gdyż na Korei jest tylko 15.000 katolików i 300 ewangelików, rezultaty nieznaczne, z uwagi na trzystoletni pobyt misjonarzy, których czynna działalność, przerywana prześladowaniem, w r. 1866 nanowo podjęta została.

* * *

Miedzy osobistościami, które w japońsko-chińskim zatargu dotąd wystąpiły, najwięcej budzi zajęcia chiński wice-król Li Hung Czang. Ten niezwykle człowiek, zwany chińskim Bismarckiem, nie będzie już odtąd odgrywał swej roli, a to wskutek niepomysłnej gwiazdy, która unosiła się nad pierwszą wojenną wyprawą, podjętą przez chińczyków.

O nim wyraża się pewien doświadczony w tych stosunkach sprawozdawca:

„Li Hung Czang jest pod pewnym względem jeszcze potężniejszy niż Bismarck, daleko więcej przypomina Wallensteina, gdyż jest prawie właścicielem armii z 75.000 ludzi złożonej, i najlepszej na Wschodzie floty. Jest nadzwyczaj bogaty, i niema wcale nieprzyjaciół, co znaczy, że ich wszystkich pokonał.“

Nie jest przesadą, że właściwie on, a nie cesarz, rządzi trzystu pięćdziesięciu milionami głów opatrzonych warkoczem.

Cesarz pochodzi z Mandżuryi, zaś Li Hung Czang jest rodowitym Chińczykiem i na tem polega po części jego potęga. Już w r. 1860 zajął takie stanowisko, że obok sławnego Gordona za-

siadał u stołu, a w r. 1880 został wielkim kancle-rem.

Nie po raz pierwszy wpada w niełaskę u cesarza. Już w r. 1870, po krwawej bitwie w pobliżu Tientsinu utracił wiele ze swych tytułów, gdyż pozornie naraził na niebezpieczeństwo naczelnego wodza; lecz już w r. 1872 powrócił do urzędu i godności. Obecnie ma lat 71, jest zatem na progu starości, może więc brak mu dawnej energii. W każdym razie jest to jedyny człowiek w Chinach, przez wszystkich uznany, i można być pewnym, że pozbawienie oznaki żółtego kaftana, właściwie nie wysadza go jeszcze z siodła.

Kronika działalności kobiecej.

— Słuchaczki wykładów w petersburskim Instytucie medycznym obowiązane są mieć co najmniej lat osiemnaście, a najwięcej trzydzieści pięć, posiadać patent wydany przez władzę męskiego lub żeńskiego gimnazjum klasycznego.

— Helena Zbraniecka zamieszkała w Radomiu, otrzymała od zarządu War. Tow. Dobroczyńności pozwolenie na otwarcie we wspo unianem mieście przytułku dla dwunastu dziewcząt ubogich, utrzymywanych kosztem założycielki. Przytułek pozostawać będzie pod opieką Towarzystwa.

— P. Kleindinst z Ozorkowa, ukończywszy praktyczne studia medyczne pod kierunkiem D-ra Neugebauera w Warszawie, zamieszka w Łodzi z celem praktyki lekarskiej, pierwsza tam kobieta lekarz, a dodać można bardzo potrzebna, bardzo użyteczna ze względu na znaczną liczbę kobiet pracujących w fabrykach tego miasta. Kobiety lekarki, osiadające w miejscowościach fabrycznych, oraz na wsiach oddalonych od miast, gdzie przebywają lekarze, mają przed sobą zadanie obywatelskiej użyteczności i zarazem zapewnienie własnego losu, jak to pismo nasze niejednokrotnie już wykazuje. Według danych statystycznych wypadła u nas przeciętnie na sześć tysięcy ludzi jeden lekarz.

— P. Bronisława Wiesiołowska, przewodnicząca szkoły malarstwa dla kobiet w mieście naszym, zaprowadza w niej kursa specjalne rysunku technicznego z celem, aby to pomogło do rozwinięcia się nowej gałęzi pracy niewieściej. W niektórych technicznych biurach miejskich, oraz w prywatnych, kobiety znajdują już pracę w tym zakresie; w biurze pomiaru przy zarządzie kanalizacji naszego miasta zajętych jest w tym kierunku przy inżynierze Lichtweisie kobiet piętnaście, przy budowniczym p. Ant. Jabłońskim dwie. Wspomniana wyżej pani, otrzymawszy odpowiednie pozwolenie, zaprosiła budowniczego, p. Józefa Mazurkiewicza, na dyrektora kursów, które podzielone są na dwa oddziały. Uczennice przebywać je będą w ciągu jednego roku.

— Ma się wkrótce ukazać na półkach księgarskich pożyteczny podręcznik przy nauce dzieci, „Zbiór zadań arytmetycznych“, ułożony przez dwie nauczycielki p.p. M. Dzierżanowską i Stefanią Sempołowską.

— Dzieło zacnej, dziś już nieżyjącej pani, s. p. Augustowej Potockiej z Wilanowa, budowa kościoła przy ulicy Dzielnej pod wezwaniem S-go Augusta, jest już na ukończeniu; dach został pokryty tafelkami szyfrowymi, nawy boczne zasklepione, a środkowa jest blizką ukończenia, rusztowanie koło wieży głównej rozebrano będzie dopiero za nadejściem wiosny, zabrakło bowiem odpowiedniego nakładu na wykończenie szczytu wieży i zarząd budowy liczy na to, że znajdzie się jaka dobroczynna ręka, która go dostarczy. Należałoby się spodziewać tego od tych, którzy z ogromnego majątku tej pani korzyść wzięli jako spadkobiercy.

— Dzień 23 ubiegłego miesiąca był dwudziestopięcioletnią rocznicą założenia szpitala dla dzieci, którego istnienie zawdzięcza miasto nasze w czę-

ści przeważnej szlachetnym zabiegom i ofiarom kobiet. Założony w 1869 r., przez lekarza D-ra Antoniego Sikorskiego, oddany został pod opiekę Sióstr Miłosierdzia, gdy przecież stawał się za ciasnym na pomieszczenie, dwie zacne panie, Gabryela Wrotnowska i przełożona Sióstr miłosierdzia, Pomorska, zaczęły zbierać ofiary ze skutkiem tak szczęśliwym, że zaczęto myśleć o budowie odpowiedniego gmachu, który stał się przeważnie dobroczynnym groszem kobiet; hr. Potocka dała 45.275 rs. Ponieważ mieścił on w obrębie swoim aptekę, mieszkanie Sióstr miłosierdzia, kapelana i zarządu, okazał się wkrótce zaciśniętym i w r. 1884 stanął na tymsamym placu drugi dom piętrowy, wzniesiony całkowicie kosztem zacnej filantropki, a jaką jest tu jej zasługa dość przytoczyć liczy. Od chwili otwarcia szpitala leczyło się w nim po koniec ubiegłego roku 18.347 dzieci. Zarządem, gospodarstwem szpitala i nadzorem nad chorem zajmują się dziesięć sióstr miłosierdzia.

— Elżbieta Heckmanowa zapisała Akademii nauk w Berlinie 1.506.000 marek na stypendya naukowe. Jest ona córką kupca, który się dorobił pracą uczeniową takiego majątku, mąż jej był człowiekiem zacnym, a że małżeństwo było bezdzietne, zamierzał zapisać całe mienie swoje na cele naukowe, a choć nie zostawił testamentu, żona wykonała jego wolę, mimo nalegań rodziny i tych, którzy pragnęli ją zaślubić. Za mąż nie poszła tak z uczucia wiernej miłości dla zmarłego, jak i dla tego, aby zapis, w którego summie mieścił się i jej znaczny posąg, nie został naruszonym.

— Sześć sióstr miłosierdzia z klasztoru Tilburg w Holandji wyjechało do Gijany holenderskiej z celem pielęgnowania tam w szpitalu trędowatych, a dodać trzeba, że gdy przełożona klasztoru zapytała zgromadzone, która z nich chce spełniać tę służbę chrześcijańską, wszystkie oświadczyły gotowość tak żarliwą, że rzecz rozstrzygnęła się przez ciągnięcie losów.

— Trzy francuzkie siostry miłosierdzia otrzymały krzyże legii honorowej za poświęcenie, z jakim obsługiwały szpital wojskowy w Breście przez lat trzydzieści. W czasie epidemii cholery, oraz w czasie wojny francuzko-niemieckiej poświęcenia ich były tak wielkie, że lekarz wojskowego szpitala odezwał się raz: „Należałoby całować nogi tych kobiet, jako świętych.“

— Na wystawie w Lugdunie mieści się obok wystawy sióstr miłosierdzia „Czerwonego krzyża“ wystawa „Stowarzyszenia kobiet francuzkich, związanej w czasie nieszczęśliwej dla Francji wojny z Niemcami, a są tu przedstawione wszelkie możliwe środki ratunku i opatrywania rannych. Kobiety francuzkie tego stowarzyszenia nie rozwiązały go, czekając na tę chwilę odwetu, w której stanęłyby do pracy.

— W Londynie zawiązało się w roku przeszłym a obecnie rozszerzyło na kraj cały i kolonie stowarzyszenie kobiet pracujących w dziennikarstwie. Pierwszym warunkiem przyjęcia do Towarzystwa są nieposzlakowane obyczaje, następnie odpowiednie uzdolnienie naukowe, aby związek mógł przez to stać nie niżej od mężczyzn piszących w tym zawodzie, i dla tego towarzystwo przyjmuje tylko te spośród kandydatek, które już dwa lata pracowały na tem polu bez ujemy na dobrem imieniu. W klubie Stowarzyszenia odbywają się odczyty w rozmaitych gałęziach wiedzy i pojęć życia moralnych. Drugi klub „Soho-club,“ zawiązała szlachetna filantropka, wysoko w społeczeństwie swem szanowana, miss Stanley, dla kobiet zajętych pracą na chleb w rozmaitych jej gałęziach: dla nauczycielek, dla artystek i dalej dla szwaczek pracujących w magazynach mód, dla robotnic fabrycznych. Są tu sale wspólne, są i gabinety oddzielne, prelekcje które się tu odbywają są również w rozmaitych

kierunkach, lecz celem założycielki było, aby te zestowarzyszonych, które stoją niżej, przez zbliżenie się pewne do wyżej wykształconych podnosiły się umysłowo i tak się też dzieje. Szwaczka, kwiaciarka, introligatorka, czuje się dumna ze swego klubu i usiłuje utrzymać się na tej stopie moralnej, aby do niego należeć mogła, przymierzając się do związków szlachetnych przyjaciół. Kobiety z umysłem rozświeconym działają, poddają wybór książek, poddają pewne pojęcia, które rozbudzają umysły, podnoszą serca i uczą jak uniknąć tych pokus różnych, jakimi wielkie miasto otacza samotną i nieumiejącą patrzeć na życie, a że obok tego każda klasa znajduje odpowiednie sobie towarzystwo, więc nie przychodzi zmęczenie i przynus ciężący. Soho-club powinien być dać przykład kobietom wszelkich narodowości.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż w tamtejszem Towarzystwie technicznem utworzono specjalną komisję dla rozpatrywania wszelkich wynalazków oraz projektów, mających na celu chemiczne gaszenie ognia podczas pożarów. Towarzystwo zamierza otworzyć publiczne kursa fotografii, wykłady będą teoretyczne i praktyczne.

— W pierwszej połowie Września powstały w Krymie chłody, jakich nie pamiętają o tej porze ludzie najstarsi. Kilkakrotnie padał w różnych miejscowościach śnieg, silne przymrozki zniszczyły doszczętnie winogrona i inne owoce, oraz plantacje tytoniu.

— Dzienniki petersburskie piszą, iż projekt wprowadzenia przymusu szkolnego zaniechany nie został. Początkowo obowiązkowe nauczanie ma być zaprowadzone w czterech guberniach południowych, tudzież w trzech powiatach guberni taureckiej.

— Komitet Warszawskiego Towarzystwa Sztuk Pięknych zawiadamia, iż wakuje stypendyum imienia Kopernika w kwocie 277 rs. dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, mającego najmniej lat 16, a nie więcej nad 21, i pragnącego się kształcić w malarstwie w kraju lub zagranicą. Pierwszeństwo mają kandydaci nie pobierający innego stypendyum. Pragnący ubiegać się o wspomniane stypendyum winien złożyć komitetowi Towarzystwa najpóźniej do d. 1-go Listopada podanie na papierze bez stempla z załączeniem metryki urodzenia, oraz świadectwo niezamożności, świadectwo pobierania nauki w zakładzie naukowym sztuk pięknych, studyum poświadczone przez zwierzchność szkolną, iż jest wykonane przez kandydata. Przebywający po za granicami królestwa powinien złożyć obok powyższych dowodów świadectwo władz miejscowych. Podobnie z zapisu Heleny Korwin Szymanowskiej wakuje stypendyum w kwocie 150 rs. dla młodzieńca rodem z Królestwa Polskiego, wyznania rzymsko-katolickiego, ubogiego i prowadzącego się dobrze a pragnącego wydoskonalić się w sztuce malarzkiej, lub rzeźbiarskiej. Stypendyum będzie przyznane temu tylko, kto pod okiem delegowanych członków Towarzystwa najlepiej wykona na temat wyznaczoną mu pracę. Ze współubiegających się jednakowego uzdolnienia mieć będą pierwszeństwo Szymanowscy herbu Słępowron, przydomku Korwin, lub Kossowscy z Głogowa.

Zgłosić się należy z podaniami na papierze bez stempla do komitetu Towarzystwa najpóźniej po dzień 1-go Listopada z załączeniem metryki urodzenia, świadectwa niezamożności, oraz dobrej konduity, Szymanowscy zaś i Kossowscy oprócz powyższych dowodów i legitymacją swego pochodzenia.

— W kościele Ś-go Krzyża odbyła się uroczystość odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ku uczczeniu pamięci zacnego pedagoga i uczonego, tłumacza „Iliady“ ś. p. Augusta Szmurły, profesora Akademii Duchownej, oraz Szkoły Główniej. Pamiątkę tę wzniesli wdzięczni uczniowie I-go gimnazjum; zmarły w 1888 r. w Warszawie, urodził się w 1821 r. w Dołhobyczowie.

— Dr Markiewicz pisze, iż zaszła pomyłka w ogłoszonym przez pisma rezultacie co do stanu kasy biura kolonii letnich, jakoby miał się tam wytworzyć deficyt dochodzący dwóch tysięcy rubli. Ofiary tegoroczne były rzeczywiście mniejsze od zeszłorocznych o sumę taką, ale nie mniej wszystkie koszty utrzymania kolonii zostały w zupełności pokryte, wynagrodzenie należące osobom dozoruującym i służbie już wypłacono, rachunki firm dostarczających koloniom materyału na odzież dla dzieci i wszelkie inne wydatki będą w połowie Grudnia uregulowane. Spodziewać się można, że sprzedaż przedgwiazdkowa zasili dostatecznie kasę kolonii, które dały 1.800 dzieciom najuboższych mieszkańców Warszawy dobrodziejstwo odetchnięcia świeżem powietrzem otwartych przestrzeni.

— Do zarządu „Lutni“ weszli pp. Święciecki, Stołagiewicz, Karłowicz, Koziński i Skowroński, na zastępców wybrano pp. Chrzanowskiego i Skowrońskiego, do komisji rewizyjnej pp. Warzykiewicza, Maszyńskiego i Szostkiewicza.

— Piękny obraz olejny, mieszczący się w wielkim ołtarzu katedry kieleckiej, a przedstawiający Wniebowzięcie Najświętszej Panny, został starannie oczyszczony z grubej warstwy werniksu przez p. Górnickiego nauczyciela rysunków. Obraz ten jak dowodzi napis mieszczący się w rogu, malowany był w Rzymie w 1730 r., przypuszczać można, że jestto dzieło Czechowicza.

— Projekt wzniesienia pomnika Heinemu najpierw w Düsseldorfie a następnie w Moguncji nie przyszedł do skutku przez silną uprozczytą sfer wpływowych i nie mógł znaleźć miejsca nigdzie w Niemczech; wielbicieli jego talentu zachcieli wnieść go w Paryżu, na jednym z bulwarów, ale i tu projekt nie został przyjętym przychylnie. Ankieta rozesłana do wybitniejszych pisarzy i artystów wykazała, że zamiar nie przyjdzie do skutku. Najznakomitsi pisarze francuzcy i osoby wyżej postanowione w opinii ogółu nie przychyliły się do tego zamiaru. Zapewne pomnik wzniesiony przez cesarżową austriacką na Korfu w pięknej jej rezydencji „Achilleion“ będzie jedynym. Obok każdego pisarza i artysty jest obywatel i nie można przy sądzie o nim usunąć tego wielkiego względu.

— Modrzejewska przebywa obecnie w Wiedniu, zaproszona do udziału w przedstawieniu dobroczynnem na korzyść ludności dotkniętej trzęsieniem ziemi w Konstantynopolu. Rzecz przecież zapewne nie przyjdzie do skutku, gdyż w dwóch teatrach jedynie otwartych o tej porze nie dopuszczone są występy w języku obcym.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się powieść p. t. Mamona, przez Mrs Aleksander przekład z angielskiego, ark. 12 i 13.

TREŚĆ: Raz cię widziałem..., przez Wiktora Gomułickiego. — Optymizm, przez M. I. — Bez woli, powieść przez Wandę Grot Bęczkowską (dalszy ciąg). — Przegląd teatralny, przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego. — Z Czech, przez E. — Korea. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Mamona, przez Mrs Aleksander, przekład z angielskiego. Arkusz 12 i 13. — Przegląd mód. — 25 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycja stołu.